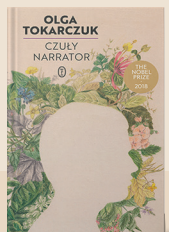




fot. Łukasz Giza

Regulowanie ostrości obrazu

„Zebrałam kilkanaście tekstów, starszych, nowszych i zupełnie nowych, napisanych już z myślą o tej książce. Kryterium wyboru było zaskakująco proste: to musiały być dla mnie teksty ważne” — mówi Olga Tokarczuk w ekskluzywnym wywiadzie poświęconym jej najnowszej książce. **Czuły narrator** już w księgarniach.



KATARZYNA KANTNER: Na początku chcę zapytać o emocje – konkretnie dwie: czułość i gniew.

Ten tytuł – *Czuły narrator* – brzmi dziś prawie prowokacyjnie. Jeśli wyglądam za okno albo skroluję Facebooka, to myślę, że czułość to coś, co do tego naszego świata zwyczajnie nie pasuje. Moment jest taki, że niesamowicie nam jej brakuje – w tym, jak się komunikujemy, w tym, jak na siebie patrzymy, w tym, co i jak mówimy. Piszesz, że czułość to „szukanie podobieństw” i przyglądanie się „z uwagą i skupieniem” temu, co nie jest nami.

OLGA TOKARCZUK: Pomyślałam teraz, że pierwsza odruchowa ocena tych dwóch emocji nawiązuje bardzo głęboko do podstawowego paradygmatu cywilizacji, w której się wychowaliśmy – żeby wszystko traktować binarnie, w opozycjach. Czułość i gniew jawią się wtedy jak emocje sobie przeciwne. Ale można na to spojrzeć inaczej – to raczej emocje, które są częścią tego samego kontinuum, zaangażowania się, przejęcia czymś, głębokiego uczestnictwa w jakimś wydarzeniu, procesie, relacji. Czułość to wejście w relację z kimś, kto nie jest mną, oparte na współodczuwaniu, dzieleniu się, rozumieniu i bezwarunkowej akceptacji. To także, a może przede wszystkim, przecucie, że dzielimy wspólny los, zatem czułość wzbogaca też tego, kto ją odczuwa.

Czy myślisz, że możemy jeszcze odzyskać czułość?

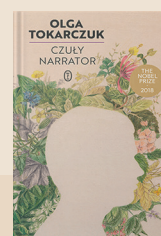
Z jednej strony jest to coś przyrodzonego naszemu gatunkowi, z drugiej zaś indywidualnie kształtowanego w relacjach ze światem. Pamiętam, jak jakiś czas temu oglądałam w muzeum bardzo stare kamienie nagrobne z Grecji i sama byłam zaskoczona, że przedstawienie swoich bliskich zmarłych i umiejętność przekazania



w wyrzeźbionym epitafium swojej wobec nich czułości może tak niezmiennie wzruszać aż do dziś. Czułość wydaje się więc dużo bardziej naturalną postawą w stosunku do świata i życia niż cokolwiek innego. To poczucie głębokiej, fundamentalnej więzi ze wszystkim, co żywe i trwa. Nie ma nic wspólnego z „pochylaniem się” nad innym, z czułościowością, sentymentalizmem. W tym sensie jest to postawa nawet bardziej intelektualna niż emocjonalna.

A gniew? Pisziesz, że niesłusznie traktujemy go jako coś wyłącznie negatywnego, bo ma także pozytywną stronę – może być narzędziem przywracania godności, pozytywnej rebelii, zmian i że rewersem jest współczucie.

Gniew rozumiem jako uczucie niezbędne do rozwoju, do przechodzenia z jednego etapu na drugi. Podobno po raz pierwszy objawia się u niemowlęcia spowodowany poczuciem unieruchomienia. Zresztą tak najłatwiej sprowokować gniew u człowieka, właśnie unieruchamiając go. Jest to więc swoista emanacja energii wolności, ruchu, prawa do zmiany. Gniew pojawia się także, gdy jesteśmy świadkami jakiejś niesprawiedliwości albo przemocy. To potężna energia, która często każe zapomnieć o sobie samym i staje się paradoksalnie emocją jednoczącą ludzi. Kiedy jednak wymknie się spod kontroli, ma tendencje do autoeskalacji. Dlatego instynktownie czujemy, żeby nie igrzać z gniewem. Kobietom wręcz zakazuje się gniewu. Nasz gniew bywa demonizowany – taka kobieta staje się wściekłą Bachantką, Walkirią, Meduzą – podczas gdy u mężczyzn jest akceptowany, a nawet hołubiony. Dobrze to ilustruje przykład Jezusa, który gniewnie wypędza kupców ze świątyni. W popkulturze mamy setki męskich bohaterów, którzy posługują się jeszcze mroczniejszą odmianą gniewu – zemstą, odwetem – i uchodzi im to na sucho.



Ten kulturowy brak przyzwolenia na gniew kobiet uświadomiłam sobie przy okazji *Prowadź swój pług przez kości umarłych*. Wielu pierwszych czytelników było po prostu zniesmaczonych bohaterką tej książki, Janiną Duszejko. Stara baba i się buntuje. Żałosne. Nasza kultura ma ogromny kłopot z emocjami kobiet, a najbardziej z ich gniewem. Kobiety, które protestują na ulicach w obronie swojego prawa do godnego życia są nazywane „wściekłymi babonami” albo „dziuniami”.

A co cię ostatnio rozgniewało?

To, co większość mieszkańców kraju – wyrok Trybunału Konstytucyjnego w sprawie zakazu aborcji. Cynizm rządu. Chciało mi się kląć.

Przeklinająca noblistka – toż to herezja prawie... Miałaś ochotę wyjść i krzyczeć razem z ludźmi, którzy maszerowali polskimi ulicami?

Chciałam, ale nie mogłam; jestem w samoizolacji z powodów rodzinnych. Tak, przekleństwa należą do słownika gniewu, bo przecież każda emocja szuka swojego języka. Moja mama, która jest polonistką, powtarza, że w przekleństwach nie ma niczego złego, bo służą artykulacji skrajnych emocji. Język byłby kaleki, gdyby je wyrugować zupełnie. I że można ich używać, choć ostrożnie i ze świadomością, co się mówi, ponieważ mają wielką siłę.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam na ekranie transparent z napisem „Wypierdalać”, wstrząsnęło to mną – takie słowo, tak jawnie obecne wielkimi, czerwonymi literami w przestrzeni publicznej. Szybko się jednak przyzwyczaiłam, uznawszy, że tych emocji inaczej wypowiedzieć już się nie da. W chwili gdy zrywa się

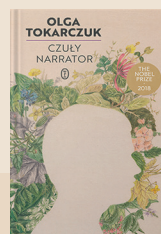


w społeczeństwie komunikacja między dwiema stronami konfliktu i ludzie nie słyszą się i nie rozumieją, kiedy wręcz nie chcą usłyszeć i zrozumieć, co do siebie wzajemnie mówią, a ich słowa pochodzą z zupełnie różnych idiolektów – wtedy pozostają tylko przekleństwa. Myślę też, że jest to, częściowo pewnie wynikający z innej składowej gniewu – bezsilności, język radykalny, tylko doraźnie, który zmieni się, kiedy sprawy przejdą do następnego etapu: negocjacji, ustalania nowego porządku i nowych zasad.

A gdybyś miała transparent, co byłoby na nim napisane?

Naprawdę nie potrzebowałabym wymyślać nic swojego, bo kreatywność, poczucie humoru i jakaś taka ironiczna lekkość haseł na demonstracjach autentycznie mi zaimponowała. Jakie to twórcze pokolenie – pomyślałam – od razu stworzyło swój indywidualny i unikatowy język ekspresji, swoje logo, swoje znaki i zasady porozumiewania się, i swoje symbole, dowcipy, piosenki. Na naszych oczach, w bardzo krótkim czasie, powstała cała kultura tego protestu.

Ja jednak wolałabym epicko: rządzący PIS hołduje anachronicznym, absolutnie oderwanym już od rzeczywistości sposobom myślenia: dogmatyzuje własne wyobrażenie tradycji i wartości, które nazywa chrześcijańskimi, choć w gruncie rzeczy jest to narodowo-katolicki i patriarchalny system opresji i skomplikowanych metod wykluczania różnych grup ludzi w zależności od koniunktury politycznej i widzimisię partii rządzącej. Ten rodzaj myślenia doprowadził do utraty kontaktu z rzeczywistością, a władza trwa jedynie dzięki rozdawnictwu, cynicznej dystrybucji strachu i bucie. Protesty, które widzimy na ulicach, są czymś więcej niż tylko sprzeciwem wobec wyroku Trybunału. Tu zaczęła się zmiana cywilizacyjna. Dlatego protestują głównie ludzie młodzi.

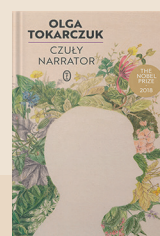


Przyjmuję to z pewną ulgą, ponieważ już straciłam nadzieję, że młodych w ogóle interesuje realny świat. Z ulgą także dlatego, że są zdolni do rozpoznania oraz przeciwstawienia się hipokryzji i konformizmowi. Dzięki ich protestom po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułam się dobrze we własnym kraju, bo ta nieznośna sytuacja, w której rząd i ludzie PiS-u mogą zrobić wszystko, nie bacząc na jakiegokolwiek zasady i dobro całego społeczeństwa, była już nie do zniesienia. Chciałabym, żeby ten kraj był rządzony przez rozumnych, wrażliwych i uczciwych ludzi, którzy potrafią postawić dobro obywateli ponad swoje własne, którzy byliby kompetentni i rozumieli, że zagrożeniem nie jest jakiś wymyślony śmieszny gender, ale wycinka lasów, kolaps klimatyczny i zanieczyszczenie polskich miast, a także powrót idei faszystowskich, nacjonalistycznych i ksenofobicznych. To, w największym skrócie, znalazłoby się na moim transparencie.

Pytałam o gniew, więc zapytałam o spokój. Czy po „gorączce noblowskiej” nadszedł taki moment, kiedy wreszcie go miałaś?

Za mało. Mam stale narastające zapotrzebowanie na spokój. Zauważyłam, że z wiekiem coś dziwnego dzieje się z moją percepcją czasu. Minuty trwają zaledwie 80 procent tego, co kiedyś. Godziny odczuwam jak kiedyś trzy kwadransy. W ciągu dnia ta utrata się kumuluje i brakuje czasu na życie. Dziwny stan.

W remontowanym domu postanowiłam „zafundować” sobie, a także przyszłym rezydentom, bibliotekę z prawdziwego zdarzenia, skrupulatnie więc doglądałam wszystkich prac. Założyłam fundację i to dodało mi, nam, mnóstwo nowych obowiązków. Działamy też lokalnie. Z pomocą inżynierów z Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie, zbudowaliśmy ultranowoczesną i ekologiczną



hydrofitową oczyszczalnię ścieków, której funkcjonowanie mnie fascynuje. Teraz chciałabym przywrócić naturze zniszczone stawy i zaprosić do nich żaby i inne żywe „stawopławne” istoty. Z pomocą specjalisty udało się nam rozmnożyć stare, ledwie żywe poniemieckie jabłonie.

Dużo się dzieje.

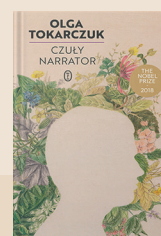
Miałaś, jak się wydaje, spełnione, spokojne życie. Co ten Nobel dał, co zabrał? Zastanawiam się, czy po czymś takim można po prostu wyjść po papierosy...

Kochana, to zabrzmiało tak, jakby moje życie właśnie dobiegało końca. Dla kogoś, kto jest młodszy o pokolenie, tak to może wyglądać, ale nie mam jeszcze poczucia kresu czy spełnienia. Może trochę? Wszystko jakoś zaskakująco zostało po staremu. Pandemia unieważniła wszelkie wyjazdy, wykłady, spotkania i niejako przywróciła mnie na stare tory. Nie było specjalnie okazji do celebrowania tej nagrody. Właściwie to może i dobrze.

Ja sama nie czuję w sobie większych zmian, a ludzie zajęli się już innymi sprawami. Ważniejszymi. Udało mi się chyba wymeldować z roli dyżurnej komentatorki obecnej rzeczywistości, i uważam to za wielkie osiągnięcie. Często niezbyt dobrze rozumiem, co się dzieje tu i teraz. Lepiej się czuję, patrząc wstecz lub do przodu.

Myślę, że Nobel to coś, co z jednej strony sprawia, że nagle się żyje bardzo mocno, intensywnie, z drugiej nie można już być tak po prostu dziewczyną z sąsiedztwa...

Mogę. Jestem. To kwestia perspektywy. Z im bliższego dystansu mnie widzisz, tym bardziej jestem tą dawną osobą. Tylko z daleka wyglądam jak noblistka.

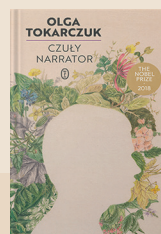


„Dziś towar to samo pisarskie «ja»” – stwierdzasz w jednym z esejów. Opowiadasz o szoku, jakiego doznałaś dawno temu, po raz pierwszy w życiu widząc twarz Kafki nadrukowaną na kubkach. Czy jesteś przygotowana na twarz Olgi Tokarczuk nadrukowaną na T-shirtach i czy w ogóle rozpoznajesz się w tej – ikonicznej już nieco – kobiecie z dredami, która patrzy na nas z billboardów, wystaw, okładek magazynów?

Daj spokój! Mądry człowiek wie, że nie ma jednego „ja”, że mniej lub bardziej świadomie poruszamy się po szachownicy życia za pośrednictwem różnych swoich awatarów i że dzisiaj rzeczywistość jest zbyt skomplikowana i ciężka, żeby odpowiedzialność za jej rozumienie zrzucić na drobne barki jakiegoś małego ego. Ta kwestia mnogich osobowości też zresztą pojawia się w esejach. Dzisiejsze czasy niejako zachęcają do tego, by żyć w kilku postaciach. Zaczyna się od gier, kont i profili w mediach społecznościowych, a czym się skończy? To zobaczymy.

***Czuły narrator* przynosi bardzo wiele niepokoju. Można go znaleźć w wielu miejscach tej książki, jeśli trochę mocniej się wczytać. Piszesz: „coś jest ze światem nie tak”. Czy Olga Tokarczuk stała się pesymistką?**

Optymizm, pesymizm. Za proste. Zresztą, kto dzisiaj jest optymistą? Witajcie w ciężkich czasach. Trudno coś zaplanować, zagrożenie czai się w powietrzu, często dosłownie, bo wielka część populacji żyje w wiecznym smogu – to rodzi niepokój i lęk na skalę globalną. Poza tym ostatnio wszyscy staliśmy się śmiertelni. To efekt uboczny pandemii. A trochę o tym zapomnieliśmy. Pandemia przypomniwała



nam, że mamy kruche, podatne na zniszczenie ciała, nie możemy wszystkiego kontrolować, a w dobie planowania wypraw na Marsa można się przypadkiem zarazić na klatce schodowej i po prostu umrzeć. Że przesadziliśmy z wiarą we współczesną medycynę, a rządzący wiedzą i mogą niewiele więcej od nas. Że autorytety bywają na wyrost, a niektóre z nich są żalonymi nagimi królami. Że w czasie świetnej zabawy wyniszczyliśmy ogromną liczbę gatunków.

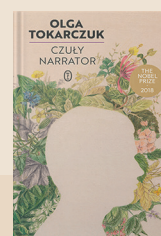
I jeszcze – popsuliśmy delikatny, wrażliwy samoregulujący się mechanizm planety i naszym dzieciom i wnukom zgotowaliśmy straszne życie.

Bywam czasami zła na ludzi – na myśliwych, którzy dokarmiają zwierzynę, żeby potem do niej strzelać i dla przyjemności mordować. Na tych, którzy w wyborach głosowali na jakąś opcję, a potem się skarżą, że im się nie podoba. Na hipokryzję, konformizm i słomiany zapał – trzy polskie grzechy.

Ale mam też coś w rodzaju łagodnego syndromu Pollyanny – spontanicznie doszukuję się dobrych stron niedobrych sytuacji czy zdarzeń. Sytuacja, w której się znaleźliśmy, może stać się przyczyną szybkiego porzucenia tej niedojrzałej, nieodpowiedzialnej postawy. Po chaosie i gniewie może przyjść czułość i odpowiedzialność.

W swojej najnowszej książce z jednej strony piszesz o mocy fikcji – o tym, że daje możliwość wchodzenia w skórę postaci, patrzenia innymi oczami, doświadczania różnych możliwości siebie... Z drugiej – wybierasz formę eseju i wykładu. Co ona daje? Czy pozwala powiedzieć coś, czego nie da się powiedzieć w powieści czy opowiadaniu?

Forma dyskursywna odwołuje się do prostego bezpośredniego intelektu. To w tej formie dyskutujemy ze sobą o świecie,



pokazujemy, jak myślimy. Może jest to komunikacja trochę powierzchowna, ale szybka i dość skuteczna. Potrzebowałam jej także dla siebie. Chciałam być świadoma tego, jak pracuję, co się ze mną dzieje, kiedy piszę, co to w ogóle jest owo pisanie. Taka autoanaliza, którą prowokuje siedzący naprzeciwko słuchacz, bardzo poszerza świadomość.

Zebrałam kilkanaście tekstów, starszych, nowszych i zupełnie nowych, napisanych już z myślą o tej książce. Kryterium wyboru było zaskakująco proste: to musiały być dla mnie teksty ważne. Są tam stare *Maski zwierząt*, esej, który był już publikowany w *Momencie niedźwiedzia*, ale i mowa noblowska, a także np. *Ognozia* – tekst napisany kilka tygodni temu i część projektu *Excentrum*, który miał swój pierwodruk w tygodniku „Polityka”. Są też wykłady, które wygłosiłam w 2018 roku na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Łódzkiego. Bardzo ciekawe doświadczenie. Mówienie swojego tekstu do ludzi, którzy po prostu słuchają – to zupełnie nowe przeżycie. Te wykłady to rodzaj introspekcyjnej autoanalizy procesu własnego pisania, mierzenia się z obrazami, językiem i narzędziami.

W wykładach poruszasz kwestie kluczowych kategorii, tłumaczysz, jak rozumiesz narratora, postać literacką czy proces twórczy. Jednocześnie mówisz, że za dwa, trzy pokolenia przestaniemy czytać i prognozujesz „koniec tej literatury, jaką znamy”. Czujesz się jak przedstawicielka wymierającego zawodu?

Trochę tak. Dzisiaj o wiele ważniejsi niż pisarze czy pisarki są scenarzyści. To oni formatują zbiorową świadomość ludzi. W większości przypadków praca pisarza jest niewspółmierna do efektów, jakie może osiągać. Nie ma też piorunującego wymiaru



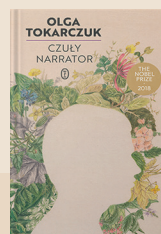
finansowego. Komuś ambitnemu i twórczemu chyba jednak nie rekomendowałabym pisarstwa. Tu musi być jakaś szczególna mieszanina introwersji i chęci rozmowy z innym, szczypta narcyzmu, wyobraźnia borderline, kompetencje językowe (wrodzone?) i być może przede wszystkim, umiejętność czekania na efekty swojej pracy.

Poczułam się trochę jak szewc, który umie robić buty, a nawet zdobył pewną klientelę. Chciałby się podzielić tym, czego się nauczył, bez względu na to, co z tą wiedzą zrobią czeladnicy. Może pójdą do fabryki albo zlecą robotom pracę za nich. Teraz jednak, kilka dni po złożeniu tego tekstu, kiedy siedzę zamknięta na wsi, zaczynam podejrzewać, że papierowe książki, klasyczne długie powieści, które można czytać przy świecy, mogą wrócić. Każda papierowa biblioteka może stać się skarbem. Młodszy ludzie bez wątpienia myślą inaczej i będą inaczej pisali swoje powieści. Prawdą jest także to, że ogromna część literatury zwyczajnie się starzeje, niektórych książek niegdyś głośnych nie da się już czytać po kilkudziesięciu latach. Nie chcę podawać przykładów, bo to smutny proces, ale w gruncie rzeczy wiele książek po prostu umiera, także tych kiedyś podziwianych i hołubionych. A inne trwają i można podejść do regału, wyciągnąć jedną z nich, położyć się na kanapie – i czytać. Tak wyobrażam sobie raj. Jeżeli coś takiego istnieje, to składa się z miliardów kanap, na których leżą Sprawiedliwi, a anioły donoszą im kolejne dobre książki, filiżanki z herbatą i kieliszki z odrobiną likieru wiśniowego.

Myślę jednak, że literatura taka, jaką znamy, powoli się zwija.

Warto jeszcze wychowywać ten literacki narybek, skoro to wszystko i tak za chwilę się skończy?

Niewielu rzeczy jestem pewna tak jak tego, że czytanie stanie się

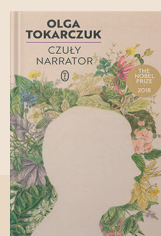


jeszcze bardziej elitarnym zajęciem, niż jest teraz. Większość ludzi w ogóle nie rozwinie w dzieciństwie takiej potrzeby i umiejętności. Przyczyny będą różne – na przykład Takie, że za późno poszli do szkoły i nauczyli się czytać dopiero w wieku ośmiu lat, jak to się teraz dzieje, że wcześniej zdobywali już informacje i wiedzę z innych niż książka źródeł i na nich bardziej będą polegać. Nie wykształcą więc rytuałów czytelniczych albo nie będą mieć takich wzorów w rodzinie, wybiorą film czy gry komputerowe niż drukowany tekst. Prawdopodobnie będzie to więc sztuka dla tych kilku procent jeszcze czytających i może dla scenarzystów i filmowców, którzy przerobią to na serial albo grę.

W książce dostajemy rozbudowany wykład twojej (chyba mogę tak powiedzieć) metafizyki literackiej. Mamy więc z jednej strony współczesny świat – skończony, opisany, klaustrofobiczny i dostępny na wyciągnięcie ręki za pomocą smartfona, a z drugiej jakąś ogromną tęsknotę za tajemnicą, tym, co nazywasz bizarnym, ekscentrycznym, niesamowitym. Jeśli za tym tęsknimy (a przecież chyba tęsknimy), to gdzie i jak możemy tego szukać?

Myślę, że tu chodzi o sens, o znaczenie. Dziś chyba nikt nie ma złudzeń, że co prawda świat szybkiego dostępu do informacji, świat na smartfonach, zaspokoił nasz głód wiedzy i jesteśmy w stanie śledzić milion wydarzeń, ale jest to mało wartościowe pożywienie dla naszych umysłów. Fast food. Nie umiemy nadać temu znaczenia ani sensu, nie widzimy całości i te rzeki widoków, obrazów, relacji, muzyki nie stają się naszym doświadczeniem. Pozostają tłem. Jesteśmy jak sita, to wszystko przez nas przelatuje.

Kiedyś religia dawała takie poczucie sensu. Ale dzisiaj te religie, które znamy, też są fast foodem – zdogmatyzowanymi,



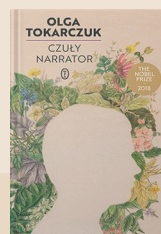
anachronicznymi, w większości także seksistowskimi, sztywnymi pakietami sprzecznych ze sobą informacji, pełnymi hipokryzji i konformizmu, opartymi na jakichś kompletnie niewiarygodnych instytucjach podobnych do korporacji i mafii.

Religie przyniosły światu wiele zła. Lecz z drugiej strony zaspakajały potrzebę tworzenia sensownej, pełnej znaczeń opowieści o świecie, jego wielowymiarowości, miejscu w nim człowieka i innych istot, o losie i przeznaczeniu, o tym, czego nie potrafimy zrozumieć. Nie uważam, że same w sobie religie są dobre albo złe. To zależy, jak się nimi posługujemy. Chyba najbardziej odrażającą formą używania religii jest taka, która wykorzystuje ją do wykluczania innych ludzi i w walkach o władzę i dominację.

W każdym razie chcę powiedzieć, że literatura, opowieść, także ta oglądana i czytana, pomaga tworzyć jakąś wspólną wizję świata, wyrazić lęki, skomunikować nas ze sobą, uzgodnić to, co jawi się nam we fragmentach. To nie jest żadna czcza rozrywka. To wielka ciężka praca zbiorowej świadomości.

W twoich książkach (także w tej) co jakiś czas pojawia się taka mała, fascynująca figura – Kairos, „bóg okazji, przemijającej chwili, niesamowitej możliwości”. I jeśli tę okazję przegapimy, tracimy szansę na przemianę, metanoję. To bóg decydującego momentu. Chciałam zapytać o taki moment w twoim życiu – o moment, kiedy pojawił się Kairos, złapałaś go za grzywkę i poczułaś, że wszystko się zmienia...

Miałam kilka razy w życiu taką kairotyczną chwilę, ale są one zbyt prywatne, żeby o nich opowiadać publicznie. Mam nad biurkiem małą płaskorzeźbę z tym szybkim bóstwem, które mija nas ciągle w pośpiechu. Fascynujące jest, że grecka mitologia (inne też) w obrazowy spersonifikowany sposób opisuje całe nasze



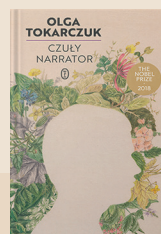
doświadczenie i nawet trudne do opisanie, wyjątkowe momenty, których nie umielibyśmy nazwać. To jest potęga. Taki Kairos, postać stworzona przez naszych przodków, tysiące lat temu, staje się metaforą i pozwala nam zrozumieć nasze własne doświadczenie.

Jeśliby szukać nerwu tej książki, to jest nim być może tęsknota za całością – narratorem „panoptycznym”, „czwartoosobowym”, który widzi szeroko (trochę jak Bóg?). Po co nam taki sposób patrzenia, taki sposób pisania?

Patrząc z góry, z szerokiej perspektywy, zawsze dostrzega się związki i relacje niewidoczne z innej. Uważam, że straciliśmy taki ogłąd całości świata, staliśmy się ślepi na jego skomplikowanie, głębię, wieloznaczność, złożoność. Często o kimś niemądrym mówi się, że jest ograniczony, co znaczy, że widzi tylko blisko, że jakieś przeszkody nie pozwalają mu spojrzeć szerzej, że jest coś dla niego ukryte za tą zasłoną. Jesteśmy ograniczeni wąską perspektywą, punktami widzenia, które nie są ani wielostronne, ani wielopłaszczyznowe. To współczesny rodzaj intelektualnej zaściankowości. Ograniczenia mogą się brać ze złej edukacji, z ubożego intelektualnie środowiska, w końcu też z wyboru. Łatwiej jest ogarniać mniej niż więcej.

Takie poszukiwanie pełni i znaczenia to chyba jedna z najsilniejszych i najważniejszych motywacji intelektualnych człowieka. Jestem agnostyczką, nie mam więc ani „pocieszenia”, ani nie otrzymałam gotowych rozwiązań ze strony jakiejś religii. Sama sobie muszę wytłumaczyć świat. Pomagała mi w tym bardzo literatura, pokazując, jak inni ludzie widzą, czują, co myślą.

A czy czasem nie jest tak, że tu właśnie „wchodzi” literatura – ta wymierająca sztuka dla ekscentryków przyszłości? W tym

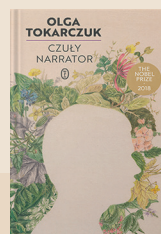


tomie wydajesz się mówić: My jej tak naprawdę bardzo potrzebujemy.

Także i z tego względu, że literatura często bywa profetyczna, to znaczy wyobraźnia pisarska potrafi wysnuwać zaskakująco prawdziwe wnioski z teraźniejszej sytuacji i projektować je na przyszłość. Dla dobrej literatury czas jest zaledwie jedną z wielu zmiennych.

Przeczytałam niedawno *Nie opuszczaj mnie* Kazuo Ishiguro. To jest książka, która odślania jedną z możliwych odnóg przyszłości. Można tę powieść nazwać science fiction, ale to techniczne i porządkujące słowo, pozwalające raczej umieścić ją na jakiejś półce w księgarni. W gruncie rzeczy opowiada o możliwym rezultacie naszych wyborów tu i teraz. Co by się stało, gdyby nasze parlamenty zdecydowały o legalności i potrzebie klonowania ludzi w celach medycznych. To wizja, która mieści się już w naszej w przestrzeni, która co prawda jeszcze nie istnieje w rzeczywistości, ale w jakiś sposób już jest. Dla tej przestrzeni ukułam pojęcie „Kraina Metaksy”, jakby swego rodzaju wymiaru, w którym żyje to, co wymyśliliśmy, to, czego się boimy, co metaforyczne, symboliczne.

Prawie od początków refleksji nad literaturą pojawia się jedno pytanie: jak sprawić, by ona coś nam o świecie mówiła, odzwierciedlała go, dotykała nerwu współczesności. W tytułowym wykładzie noblowskim mamy takie niesamowite stwierdzenie: „Zapewne wkrótce pojawi się jakiś geniusz i będzie mógł skonstruować zupełnie inną, niewyobrażalną dziś jeszcze narrację, w której zmieści się wszystko, co istotne”. Wiem, że to karkołomne pytania, ale czy ostatnio trafiłaś na coś (lub kogoś) odrobinę zbliżającego się do tego w gruncie rzeczy chyba nieuchwytnego pułapu?



To nie jest pytanie do mnie. Zapytaj kogoś, kto czyta dużo współczesnej literatury z całego świata. Może niepotrzebnie to uprościłam, pisząc: „jakiś geniusz”, a przecież to może być proces i wiele pisarek i pisarzy rozwijających, doskonalących, przeczuwających.

Historia literatury to naprawdę fascynująca dziedzina. Pokazuje bowiem, że literatura to proces zbiorowy, prawie organiczny, biologiczny – epoki, języki, kultury, jednostki opowiadają sobie i świat w różnych formach i na przeróżne sposoby, ciągle nawiązując do tego, co już napisano: reakcją i relacją, przechodzeniem na inny poziom i wiecznym poszukiwaniem metody. Jedne sposoby umierają, zostają zapomniane i przestają istnieć, inne zanikają na chwilę, żeby potem powrócić. Gdzieś tam (często na peryferiach) tworzą się zupełnie nowe, prą do przodu, stabilizują się albo trwają tylko przez chwilę, efemerydy. Na literaturę trzeba patrzeć jak na naturalny żywioł, bez którego nie bardzo możemy w pełni istnieć.

Myszę, że twoi narratorzy są w gruncie rzeczy ogromnie czuli. Wywołują zmarłych z niepamięci, przywracają głos tym, którzy go nie mają, scalają, ukazują podobieństwa. Jak się żyje z narratorem, który każe przepuszczać przez siebie te wszystkie rzeczy – boli czy raczej uszczęśliwia?

Narratorzy to są jakieś modalności, które mogą ujawnić się nie tylko w pisaniu, w codziennym życiu też jest dla nich miejsce. Są innymi punktami widzenia niż ten mój własny, jednostkowy. Poszerzają świadomość, sprawiają, że widzimy szerzej i kojarzymy odległe od siebie fakty. Budują w nas zdolność do empatii. Taki narrator ani nie boli, ani nie uszczęśliwia, ponieważ jest jak regulowanie ostrości obrazu, kiedy to niewyraźna plama zamienia się w postać, a rozmyte smugi stają się ciągiem liter niosącym jakieś znaczenie.

